WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 133 14 LISTOPADA 1978 R. CENA 1,50 ZŁ

O sztuce „czytania' rzeki przeczytasz na str. 5

Fot. **archiwum**

ZE STRUSIEM W ZAPRZĘGU

Oto na co przyszło strusiowi, największemu z żyjących obecnie ptaków. Żądny przygód człowiek wykorzystuje go do organizowania wyścigów, jako że biegusy te są nie lada sprinterami. Strusie mogą osiągnąć szybkość nawet do 80–90 km/godz. Przy okazji parę ciekawostek o tych niezwykłych ptakach. Dorosły samiec osiąga wagę 90 kg i wysokość 275 cm. W jedzeniu są bardzo niewybredne i łapczywe, żywią się głównie roślinami, jagodami i owadami. Samce są dobrymi ojcami, bowiem na zmianę z paniami strusiowymi wysiadują jaja, przy czym panowie głównie w nocy. Jeszcze wcześniej samce przygotowują gniazda, co prawda prymitywne, w postaci zagłębienia w ziemi. Warto również pamiętać, że jaja strusie to prawdziwe olbrzymy osiągające długość do 16 cm i wagę ok. 1,5 kg. (b)

MISTRZOWIE SMYCZKA

LUBLIN (HSI). Z okazji 80-lecia istnienia Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego odbył się w Lublinie III Ogólnopolski Festiwal Młodych Skrzypków. Przesłuchania odbywały się w dwóch grupach wiekowych. Pierwsza do lat 16, druga do lat 19. Uczestniczyło w nich 75 uczniów szkół muzycznych z całego kraju. W grupie pierwszej nagrodę przyznano Elżbiecie Głąb z Lublina, z klasy prof. Oskara Ruppla. W drugiej grupie dwa pierwsze miejsca przyznano Bartoszowi Bryle z Wrocławia i Dariuszowi Błaszkiewiczowi z Poznania. Nagrody wręczyła laureatom prof. Irena Dubiska, która stwierdziła m. in., że tegoroczny festiwal stał na bardzo wysokim poziomie. **(d)**

SPRAWNI JAK ŻOŁNIERZE

ZEGRZE (Inf. wł.). Na terenie Wyższej Szkoły Oficerskiej odbył się niedawno finał centralny zawodów „Sprawni jak żołnierze". W rywalizacji, która trwała od września br., w eliminacjach różnego typu startowało aż 2 tys. reprezentacji szkół podstawowych i ponadpodstawowych z całego kraju. Uczniów szkół podstawowych obowiązywały następujące konkurencje: bieg na dystansie 600 m (dziewczęta) i 1000 m (chłopcy), rzut granatem do celu oraz sprawdzian wiedzy o Ludowym Wojsku Polskim. Zawodnicy starsi rywalizowali ponadto w strzelaniu z karabinka małokalibrowego.

Do Zegrza przyjechali najlepsi z najlepszych. A oto zwycięzcy krajowego finału. Szkoły podstawowe, dziewczęta: 1) ZSG Wasików, 2) ZSG Jeżów, 3) SP-3 Myszków. Chłopcy: 1) SP-3 Zambrów, 2) ZSG Łobez, 3) SP-11 Tomaszów Mazowiecki. Szkoły ponadpodstawowe, dziewczęta: 1) LO Bodzentyn, 2) LO Grajewo, 3) LO Krzepice. Chłopcy: 1) ZSO Gryfice, 2) ZSB Głogówek, 3) ZSZ-19 Warszawa. **(zp)**

Łódzcy rzemieślnicy autorowi „Ziemi obiecanej'

ŁÓDŹ (PAP). Na placu Reymonta, tam, gdzie kończy się czterokilometrowa, główna ulica Łodzi – Piotrkowska, odsłonięty został w końcu października spiżowy pomnik znakomitego polskiego pisarza – laureata Nagrody Nobla, autora „Chłopów" i powieści-reportażu o XIX-wiecznej Łodzi – Władysława Stanisława Reymonta. Ufundowali go członkowie Cechu Ślusarzy, istniejącego w tym mieście od 150 lat, przy poparciu finansowym innych cechów rzemieślniczych, młodzieży szkolnej oraz władz miasta i dzielnicy „Górna", na terenie której stanął pomnik.

Jest on bardzo „łódzki" także dlatego, że wszystkie prace związane z jego powstaniem wykonano w tym mieście. A więc autorem projektu jest łódzki rzeźbiarz Wacław Wołosewicz, zaś brązowy odlew o wysokości 3,70 m i wadze 4 ton, wykonało po raz pierwszy Łódzkie Przedsiębiorstwo Metalowe „Progaz". **(tem)**

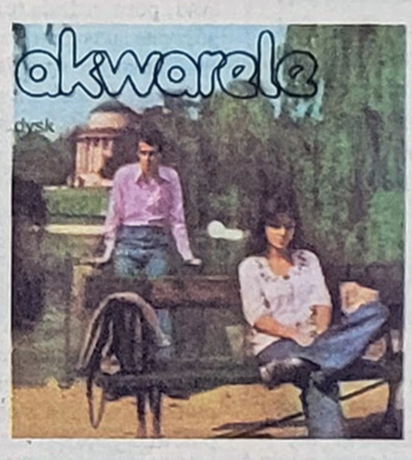

GRAJĄCY FOTOS

(Inf. wł.). Film Ryszarda Rydzewskiego „Akwarele", wyświetlany właśnie na naszych ekranach, nie powinien cierpieć na brak widzów. Magnesem jest jego młodzieżowa tematyka, bo niewiele jest polskich filmów dla młodzieży i o młodzieży. Atrakcyjna jest też oprawa muzyczna „Akwareli". Poza muzyką z baletu Piotra Czajkowskiego „Jezioro Łabędzie" oraz fragmentem opery Sergiusza Prokofiewa „Zaręczyny w klasztorze", widzowie mogą ucieszyć swe uszy dyskotekowymi przebojami typu „Balanga..." A po projekcji filmu czeka ich losowanie tychże przebojów nagranych przez TONPRESS na odwrocie barwnego filmowego fotosu z bohaterami: Dorotą Kwiatkowską – studentką warszawskiej PWST i Leszkiem Mikołajczykiem – studentem szkoły teatralnej w Krakowie. **(eb)**

AMETYSTOWY KWARC NA OPOLSZCZYŹNIE

(PAP). W okolicach Nowego Świętowa na Opolszczyźnie geolodzy odkryli żyły kwarcu ametystowego, dochodzące do kilku metrów szerokości. W żyłach wypełnionych fioletowo-różowym minerałem znajdują się fragmenty nadające się do celów dekoracyjnych. Kwarc w swojej najczystszej postaci stanowi surowiec jubilerski. Stosowany jest także w przemyśle szklarskim do wyrobu kryształów oraz w elektronice. Dotychczas największe złoża kwarcu zlokalizowane były na Dolnym Śląsku oraz w okolicach Krakowa. **(kż)**

Proporczyk dla zdobywców karty rowerowej

Automobilklub Leszczyński w Lesznie od września 1978 roku rozpoczął akcję pn. „Zdobywamy kartę rowerową". Każde dziecko po celująco zdanym egzaminie z przepisów ruchu drogowego otrzymuje proporczyk – **„Dyplom otrzymania karty rowerowej".** Proporczyk jest pierwszą tego rodzaju formą propagandy w naszym kraju, zachęcającą dzieci do poznawania przepisów ruchu drogowego. W wyniku przeprowadzonych egzaminów w wielu miejskich i wiejskich szkołach, karty rowerowe zdobyło trzy tysiące dzieci. Do tego niewątpliwego sukcesu przyczyniło się zapewne i to, że poza kartą każde dziecko otrzymało taki oto proporczyk. **(bs)**

Uganda – Tanzania

Pogranicze w ogniu

Nie ma spokoju w Afryce. Znów na tym kontynencie rozpalił się płomień wojny. Światowe agencje prasowe doniosły o trwaniu, już od pewnego czasu, walk na pograniczu Ugandy i Tanzanii. Granice tego ostatniego kraju przekroczyły dość silne oddziały ugandyjskie, które, jak chełpliwie stwierdzono w stolicy Ugandy – Kampali, w trakcie ,,25-minutowej operacji" zajęły dość duży obszar leżący na zachód od Jeziora Wiktoria. Tereny te już od dłuższego czasu były przedmiotem sporu między obydwoma państwami.

Konflikt, choć poprzedziła go intensywna wojna propagandowa i wzajemne ostrzeżenia, jakich nie szczędzili sobie obaj przeciwnicy, wybuchł dość nieoczekiwanie. W stolicach krajów afrykańskich przypuszczano, że cała sprawa zakończy się tylko na wzajemnych pogróżkach. Teraz zanosi się na dłuższą wojnę. Prezydent Tanzanii – Julius Nyerere stwierdził, że walka toczyć się będzie aż do momentu kiedy ostatni żołnierz ugandyjski nie zostanie zmuszony do opuszczenia dotychczasowych granic Tanzanii. Armia tego kraju rozpoczęła powoływanie pod broń rezerwistów, w rejon walk przerzucane są oddziały i ciężki sprzęt wojskowy.

Szanse pokojowego rozstrzygnięcia sporu są raczej nikłe; tym bardziej, że obie strony pominęły milczeniem propozycję pośredniczenia w nawiązaniu rozmów tanzańsko-ugandyjskich, jakie zgłosiło kilku polityków afrykańskich oraz sekretarz generalny ONZ. A za raczej makabryczny żart przyjęła prasa światowa propozycje prezydenta Ugandy – Idi Amina, aby o wyniku wojny zadecydował pojedynek bokserski między nim, a przywódcą napadniętej Tanzanii.

Wielu obserwatorów wydarzeń na pograniczu Ugandy i Tanzanii zadaje sobie pytanie, co skłoniło Idi Amina do rozpętania wojny. Odpowiedzi na nie trzeba szukać w sytuacji wewnętrznej Ugandy. Amin utrzymuje się u władzy dzięki bezwzględnemu tłumieniu wszelkich przejawów niezadowolenia w społeczeństwie, dzięki poparciu armii i sił bezpieczeństwa. Od pewnego jednak czasu mówiło się, że w armii ugandyjskiej pojawiły się głosy krytyki pod adresem prezydenta, wspominano o krwawo stłumionych buntach oddziałów wojskowych. Amin postanowił więc dać armii zajęcie licząc na to, że prowadzeniem wojny odwróci uwagę wielu oficerów od problemów politycznych Ugandy. Sprowokował więc konflikt – a to, że giną w nim ludzie – to dla niego nie ma już większego znaczenia. (kp)

JAPONIA OD WEWNĄTRZ

Seito-Naikai – tak nazywają Japończycy swoje Wewnętrzne Morze. Bardziej ono przypomina co prawda cieśninę czy jezioro niż bezkresne dale morskich horyzontów, ale to samo można powiedzieć o Bałtyku, który oglądany na mapie świata jest ledwo małą zatoką Atlantyckiego Oceanu. A jednak i Bałtyk, i Wewnętrzne Morze Japońskie są niesłychanie ważne dla ludzi nad nimi żyjących. Seito-Naikai łączy Morze Japońskie z Oceanem Spokojnym, nad jego brzegami na wyspach Honsiu, Sikoku i Kiusiu od tysiącleci rozwijało się osiadłe życie. To ono dawało ludziom jedzenie a także ułatwiało komunikację między wyspami. Tu, już współcześnie, rozwinął się przemysł i wraz z nim wielkie miasta i porty jak Kobe, Osaka, Hiroszima czy mniejsze Takamatsu, Iwakumi, Kure.

Rolnicy morza

Kurs wielkiego oceanicznego statku, prowadzi do Kobe przez Seito-Naikai, i oto dzieje się coś niezwykłego, statek nagle napotyka na swej drodze przeszkodę, jakby ogromne stado unoszących się tuż nad wodą pomarańczowych motyli. Musi zwolnić, prawie zatrzymać się. Dokoła niego tysiące żagielków w kolorze pomarańczowym nad rybackimi łodziami. Rybacy siedzą tyłem do kierunku jazdy i kręcą kołowrotki z linami, na których znajdują się haczyki. Wolno odchodzą spod dziobu statku, suną wzdłuż jego burt. Tak jest gdy osaczą ławicę ryb. Nad flotyllą słychać wołania, zniekształcone przez głośniki radiotelefonów.

Powietrze tego kraju wydaje się przesycone zapachem ryb i innych ,,darów morza". Mieszkańcy wysp japońskich spożywają więcej ryb niż jakikolwiek inny naród na kuli ziemskiej. Od niepamiętnych czasów, od początku osiedlenia się ludzi na tych wyspach, ryby oraz inne stworzenia i rośliny morskie stanowiły podstawę wyżywienia ludności. Naczynia z muszli, narzędzia z ości, stosy szkieletów rybich odkrywane przez archeologów w miejscach pradawnych osad, potwierdzają tę prawdę. Ani górzyste ukształtowanie Japonii, ani klimat nie sprzyjały nigdy życiu dużych ssaków. Dlatego nie rozwinęła się tu hodowla zwierząt domowych w takim stopniu, aby zapewnić ludności wystarczającą ilość mięsa. Tak więc morze musiało stać się ,,uprawną rolą" większości Japończyków. Bo choć wyda się to dziwne, ryż przywędrował do Japonii z Chin poprzez Koreę zupełnie niedawno i nigdy nie wyparł z japońskiej kuchni ,,darów morza". One to stanowią ponad połowę tego, co trafia na stół w japońskim domu. W jadłospisie japońskiej rodziny znajdziemy obok ryb, mięczaki, kraby, i wiele wodorostów, które uprawia się tu tak, jak u nas zboże.

Praca rybaka – żywiciela Japonii, choć bardzo ciężka i niebezpieczna nie jest popłatna. A Japończycy – trzeba tu dodać – łowią nie tylko na wodach okalających wyspy, są oni wszędzie tam, gdzie można złowić ryby. Mają swoje bazy na Wyspach Kanaryjskich (Ocean Atlantycki), łowią u Przylądka Dobrej Nadziei, na północnych wodach Oceanu Spokojnego aż po ląd amerykański i na wodach Antarktyki. Ci oceaniczni rybacy i ci łowiący blisko domu, zarabiają nie najlepiej. Dochód rodziny rybaka jest aż o ponad 20 proc. niższy od dochodu rodziny robotnika i o 4 proc. mniejszy od tego, co zarabia rodzina rolnicza. Liczba mieszkańców osad rybackich, zwłaszcza tych leżących dalej od wielkich miast, gdzie trudniej sprzedać rybę, albo trzeba ją oddać taniej pośrednikowi, maleje szybciej niż ilość ryb zatruwanych przez przemysł w przybrzeżnych wodach.

Po zakończeniu wojny Japonia podźwignęła się z ruin, stając się nadspodziewanie dla reszty świata szybko potęgą przemysłową. Wielkie zmiany zaszły też nad brzegami Wewnętrznego Morza, stąd pochodzi 30 proc. japońskiego dochodu narodowego. Dziewięć prefektur (okręgów administracyjnych) tego regionu daje rocznie 53,4 mln ton stali, 1,8 mln ton produktów z ropy naftowej, 4,5 mln ton papieru. W roku 1977 na stoczniach japońskich zwodowano statki o łącznym tonażu 15,8 mln ton, większość z nich spłynęła na wody Seito-Naikai. Ten ogromny rozkwit ma swoją drugą stronę. Niedocenienie skutków naruszenia środowiska naturalnego, doprowadziło w latach pięćdziesiątych do ofiar w ludziach. W rezultacie zatrucia związkami rtęci wód zatoki Minimate, zginęło kilkadziesiąt osób. Od roku 1970 zatrucie wód Wewnętrznego Morza przybrało tak tragiczną skalę, że zagraża w ogóle ludzkiemu życiu. Przed uczonymi zajmującymi się ochroną środowiska człowieka, stanęły ogromne zadania.

Jak je uratować? To pytanie, na które nie znaleziono jeszcze odpowiedzi. I pewnie nie uczeni, a kierujący tym krajem muszą je znaleźć. Bo zło zaczyna się w wielkich koncernach, które nie są zainteresowane w podrażaniu kosztów produkcji poprzez wprowadzenie drogich technologii wykluczających zatruwanie wód.

Przeklęta wyspa

Podróżowanie wzdłuż wybrzeży Wewnętrznego Morza, jest jakby przemieszczaniem się po szachownicy czasu. Wielki przemysł i zaraz maleńkie rybackie osady z drewnianymi domkami, w których okienka zamiast szyb mają rybie pęcherze; ludne miasta z wieżowcami i niedaleko od nich stare świątynie skryte w zieleni krzewów i drzew. Tłumy na ulicach miast i bezludne wysepki. Znaczną część wybrzeży tego najbardziej z japońskich mórz, zajmują znajdujące się pod ochroną parki narodowe z pięknymi złocistymi plażami i cienistymi, rosochatymi czarnymi sosnami. Na Seito-Naikai znajduje się około 3 tys. wysp i wysepek, wiele z nich jest pochodzenia wulkanicznego, ale większość powstała w wyniku ruchów tektonicznych ziemi w tym samym czasie gdy powstało i całe Wewnętrzne Morze. Jest wśród tych trzech tysięcy wysp – wyspa przeklęta, nazywa się Osima. Żyje na niej około 500 ludzi, wszyscy chorują na jedną chorobę – trąd. Większość z nich chce wyleczyć się i wrócić do swoich rodzin. Ale tak wyleczenie jak i powrót nie są wcale łatwe, choćby tylko dlatego, że ludzie odczuwają przed nimi strach. Tak więc nawet i ci, którzy już nie leczą się w miejscowym szpitalu istniejącym od 1909 r., pozostają. Małżeństwa nie są tu zakazane, ale lekarze stanowczo sprzeciwiają się temu, aby miały one dzieci, gdyż mogą one urodzić się z tą straszną chorobą. Osima jest piękną tonącą w tropikalnej zieleni wyspą, ale ci którym choroba zabrała wzrok już tego nie widzą, a lodzie z zewnątrz zawijają tu bardzo rzadko. Nie ma tu również przystani dla promów, które nieustannie przemierzają wody Wewnętrznego Morza, przewożąc ludzi, ładunki, autobusy i samochody, oraz tysiące turystów z Japonii i całego świata.

Podziemne miasto

Od czasu gdy Amerykanin Matthew Perry*) przed prawie 130 laty stanął na czele floty na redzie portu Osaka i ,,uzyskał zezwolenie" (pod groźbą użycia armat) na wejście do portu, a tym samym został zakończony okres izolacji Japonii od reszty świata, międzynarodowy port Osaka, stał się bazą na której rozwijało się ogromne miasto. Dziś jest ono drugim pod względem wielkości i znaczenia po Tokio. Nie mogąc rozwijać się wszerz, Osaka sięga nie tylko wieżowcami w górę ale i wgryza się w ziemię. Pod miastem zbudowano już 6 ogromnych centrów handlowych, gdzie w klimatyzowanym powietrzu przebywa codziennie setki tysięcy ludzi. Gdy chce się odetchnąć od zadymionych, zatrutych spalinami samochodowymi i fabrycznymi dymami ulic, schodzi się w Osace pod ziemię. Czyżby tak miała wyglądać przyszłość ludzkości? Powrót do jaskiń, tyle że klimatyzowanych z fontannami, ruchomymi chodnikami i schodami, ale bez nieba, słońca, deszczu?

Z Wewnętrznego Morza Japońskiego można zobaczyć Japonię od wewnątrz, z jej złożonymi problemami wspaniałego rozwoju przemysłu i tragicznymi tego konsekwencjami. Ale to nie wystarczy, by zrozumieć Japonię. Pewien Francuz po trzydziestu latach życia w Japonii powiedział: *„Z każdym dniem pobytu w tym kraju, wiem o nim coraz mniej".*

JERZY KOWALKOWSKI
Fot. archiwum

*) Na zdjęciu współczesny port w Osace i okręt Perry'ego w tym samym porcie przed 127 laty.

„MELANCHOLIJNA PORO, OCZU OCZAROWANIE..."

Tak pięknie wyraża się poeta o jesieni, o złotej jesieni. Tymczasem ,,oczu oczarowanie" już mija, liść opada, kolory gasną i tylko melancholia jeszcze snuje się tu i ówdzie. Zapewne to jej sprawka, że ludzie wokół miewają kwaśne humory, czują się odosobnieni i zamykając się w sobie jednocześnie odczuwają skryty żal o to, że nikt do nich nie puka. Niedaleko szukać, choćby i moja młodsza siostra. Wróciła wczoraj ze szkoły w wisielczym nastroju, a zapytana o przyczynę złego samopoczucia, natychmiast twarz zalała łzami, a mnie potokiem gorzkich słów:

– Niech się ode mnie odczepią raz na zawsze! Na cóż mi oni potrzebni! Banda baranów (o swojej klasie!), nigdy nic dla nich nie zrobię, nigdy! Och, gdyby tak można było wynieść się na bezludną wyspę – wzdychała wśród łez.

Nie pomogły moje perswazje i branie całej sprawy na tzw. rozum. Dowodziłam jej, że nie ma racji. W końcu dobrowolnie przyjęła funkcję przewodniczącej samorządu, więc niech teraz nie liczy na wdzięczność, niech nie przesadza; i tak wszyscy ją bardziej lubią niż na to zasługuje. A w ogóle to niech się nie wypina na ludzi, bo może się okazać, że oni jej są bardziej potrzebni niż ona im. ,,Człowiek jest bytem społecznym" – zacytowałam chyba z Marksa, a potem już własnymi słowami tłumaczyłam jak dziecku, że można sobie różnie myśleć o swoich bliźnich, ale żyć bez nich się nie da. Robinson na bezludnej wyspie zmarniałby do cna z samotności, gdyby nie głupi Piętaszek. Nawet geniusz nie jest samowystarczalny, a szczęściem dla człowieka jest drugi człowiek. Na koniec, aby nią wstrząsnąć do głębi, przytoczyłam z pamięci straszną przepowiednię niejakiej Sybilli. Mnie osobiście ona tak przeraża, iż na samą myśl, że może się sprawdzić, gotowa jestem byle komu fundować ciastka albo jeszcze i co innego. Według owej przepowiedni, na skutek strasznych kataklizmów, wyginą na Ziemi niemal wszyscy ludzie, a niedobitki będą całować napotkane ślady ludzkich stóp.

Moja siostra wykazała jednak całkowity brak wyobraźni.

– No i bardzo dobrze – powiedziała. – Mnie tam nikt niepotrzebny. Jestem jednostką myślącą i sama sobie wystarczam za towarzystwo i niech mnie byle kto nie truje bzdurnymi przepowiedniami jakiejś idiotki Sybilli i drętwymi mowami o społeczeństwie, o pracy dla dobra społeczeństwa... Najlepiej jak każdy będzie myślał o sobie.

Nazajutrz nie poszła do szkoły, wymawiając się bólem głowy. Kiedy wróciłam z pracy, leżała na tapczanie wpatrzona w sufit. Słoik ze śliwkowymi konfiturami postawiłam tuż obok.

– Przyniosłam ci melancholiczki. Niektórym pomagają, z mocną herbatą. Spróbuj, w każdej śliwce zamiast pestki jest słodki migdał. Zaraz wstawię wodę...

Gdy wróciłam z herbatą, melancholiczki były na wykończeniu.

– Mnie jeden słoik chyba nie pomoże – uznała moja potworna siostra.

Cóż miałam robić. Wyjęłam jeszcze jeden, ostatni. Chciałam go zadziuplować dla przyjaciół, ale niech tam, bliższa koszula ciału niż sukmana...

Szczęśliwie już wieczorem humor jej powrócił, spakowała książki i o dziwo, z radością wybierała się do szkoły. I nie wiem, co jej wreszcie pomogło: dwa słoiki moich melancholiczek, czy nowa bluzka od mamy... Szczerze mówiąc, cóż wart jest nowy ciuch, w którym nie ma się komu pokazać.

BARBARA TYLICKA

Cytat w tytule pochodzi z poematu K.I. Gałczyńskiego pt. ,,Śmierć Andersena"

KONKURS ROZSTRZYGNIĘTY!

SERWUS KLIO!

MOŻE MNIEJ BĘDZIE BEZPAŃSKICH ZABYTKÓW

Kiedy czytaliśmy nadsyłane na tegoroczny konkurs prace, szarpały nami uczucia mieszane. Z jednej bowiem strony trudno było nie docenić wielkiego niejednokrotnie wysiłku i starań, aby efekty były jak najlepsze, z drugiej zaś należało pozostawać w zgodzie z regulaminem konkursu. Musieliśmy więc bardzo wiele prac, poświęconych zabytkom w ogóle odrzucić, albowiem nie spełniały one postawionych przez organizatorów warunków.

Ostatecznie jury, złożone z przedstawicieli Zarządu Głównego PTTK oraz redakcji „Świata Młodych" zadecydowało, że spośród prac opisujących niszczejące, bezpańskie zabytki, proponujących sposób ich zagospodarowania oraz wskazujących opiekunów doskonałych, **pierwszą nagrodę – dwa namioty dwuosobowe** – otrzymują członkowie **Szkolnego Koła Krajoznawczo-Turystycznego przy Zespole Szkół Rolniczych w Sobieszynie** za przedstawienie i propozycję zagospodarowania XIX-wiecznego dworku w Sarnach.

Nagroda druga – aparat fotograficzny – przyznana została **Krzysztofowi Fikasowi z Nowej Huty** za album o również niszczejącym dworku – ale w Branicach.

Dwie nagrody trzecie – śpiwory turystyczne – przypadły w udziale: **Agnieszce Bryś z Poznania,** opisującej zrujnowany zamek w Żmigrodzie oraz **Marii Matusiak i Brygidzie Pietrzak** za interesującą opowieść o opuszczonym pałacu i zaniedbanym parku w Jagielnie.

Oprócz nagród głównych, przyznaliśmy również 20 wyróżnień w postaci albumów książkowych, które otrzymują: **Janusz Pasterski, Proletariatu 9, 38-340 Biecz, Marzena Niszczyk, Nowy Świat 16a/57, 25-522 Kielce, Małgorzata Mroczkowska, Kościuszki 46/1, 59-900 Zgorzelec, Andrzej Banaszek, 25-lecia PRL 8/7, 24-300 Opole Lub., Ilona Miszewska, Sobieskiego 2/17, 77-300 Człuchów, Wojciech Bryś, Marchlewskiego 48/16, 61-872 Poznań, Ewa Korona, Dział 86, 38-420 Korczyna, Henryk Griese, Al. 1 Maja 31 m 21, 85-005 Bydgoszcz, Bogumiła Hala, Biała Niżna 225, 33-330 Grybów, Ewa Mazurkiewicz, Młynarska 4, 74-410 Mieszkowice, Wojciech Procner, 32-651 Nowa Wieś 16, Alicja Pawłowska, Baranówka 11, 32-010 Kocmyrzów, Zuzanna Baran, Metalowców 4/49, 34-120 Andrychów, Jolanta Mirkiewicz, Świdnicka 3/8, 58-250 Pieszyce, Jerzy Stepańczak, Mickiewicza 37, 36-240 Dynów, Magdalena Miętka, Krasickiego 31/26, 85-822 Bydgoszcz, Jacek Kalarus, Spacerowa 25, 57-402 Nowa Ruda, Barbara Bębenek, Ogrody 7/32, 32-050 Skawina, Danuta Pasternak, Ogrody 7/33, 32-050 Skawina, Jacek Trojanowski, Sadowa 10/18, 05-700 Grodzisk Maz., Jolanta Lewińska, Dzierżyńskiego 50/1, 25-528 Kielce.**

Dziękując wszystkim, którzy nadesłali do nas swoje prace oraz gratulując najlepszym, liczymy na to, że zainteresowanie wielu jeszcze niszczejącymi zabytkami nie zakończy się z chwilą rozwiązania konkursu.

A oto fragment pracy nagrodzonej I nagrodą, którą przygotowali członkowie Szkolnego Klubu Krajoznawczo-Turystycznego przy Zespole Szkół Rolniczych w Sobieszynie.

Komu dworek w Sarnach?

Podczas letnich wędrówek dotarliśmy do wsi Sarny. W miejscowości tej – położonej 1 km do trasy E-81 Warszawa–Lublin – znajduje się dawny dwór. Zbudowano go w I poł. XIX wieku, a przekształcono ok. 1880. W tym okresie dostawiono do dworu dwie alkierzowe wieżyczki. Jest to budynek parterowy, murowany na planie prostokąta. Od frontu dwór zdobią cztery kolumny toskańskie. Dach jest dwuspadowy, kryty blachą. W szczytach dachu – półkoliste okna. Wokół dworu resztki parku z dziko zarośniętym stawem.

Każdy miłośnik zabytków byłby urzeczony takim opisem i natychmiast chciałby zobaczyć ten obiekt. Niestety, po obejrzeniu dworu nastąpi rozczarowanie. Tynk odpada, powybijane szyby, zacieki na murze spowodowane brakiem urządzeń odwadniających. Tymczasem można by tu było urządzić hotel turystyczny, zwłaszcza, że na szlaku długości 160 km nie ma prawie żadnych miejsc noclegowych (!). (...) Połączenie w zabytkowym hotelu walorów wygody i niecodziennego otoczenia pozwoliłoby na wywołanie wspaniałego nastroju. Jeżeli dodamy do tego regionalny lub dawny jadłospis i atrakcje kulturalne – osiągniemy właściwy cel wykorzystania zabytkowego obiektu poprzez jednoczesną rozbudowę bazy turystycznej.

Nie wiemy czy nasze propozycje znajdą uznanie w przedsiębiorstwach turystycznych, zajmujących się organizacją wypoczynku, gdyż przedstawialiśmy je już kilka lat temu. Rezultat był taki, że zamiast wyremontować zabytkowy dworek w Sarnach – GS w Rykach pobudowała w odległości kilometra od dworu nieestetyczny budynek z metalu i szkła, który szumnie nazwała zajazdem turystycznym (???).

Zainteresowane przedsiębiorstwa (Orbis, WPT, PTTK) zapraszamy więc do obejrzenia dworu w Sarnach, wyremontowania go i urządzenia w nim bazy dla turystów, którzy po spędzeniu nocy w tym obiekcie – pojadą zwiedzać duże i hałaśliwe miasta.

Fot. SKK-T

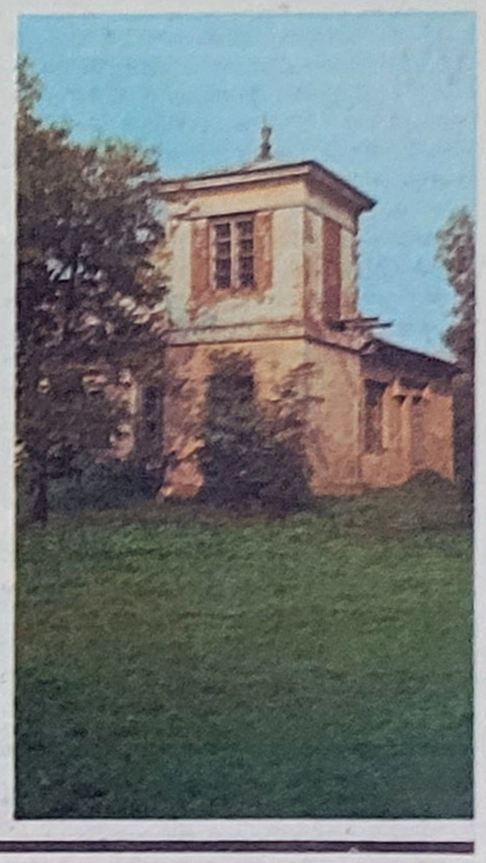

Ogromna widownia, światła reflektorów. Jak łatwo poddać się ułudzie popularności

Jeszcze chwila i jedna z najmłodszych uczestniczek Festiwalu Opolskiego znajdzie się na scenie

„ŚWIAT PO BAJCE JEST SINY I MGŁA"

Witamy na kolejnym koncercie Festiwalu „Opole 78". Dziś prezentować będą piosenki młodzi wykonawcy, którzy są u progu kariery. Życzymy więc im wszystkim...

Nie! Nie wyjdę! Nie mogę! Dlaczego nie siedzę tam, wśród publiczności. Zimno okropnie, po ci mi ta „Zielona Dolina". Ośmieszę się tylko. Ciągle ktoś mnie potrąca. Przepraszam panią, przepraszam cię. Wyglądam na scenę. Światła. Przestrzeń. Chyba zrezygnuję. Tak w ostatniej chwili? Dlaczego? O co mi właściwie chodzi? O karierę, co to marzyłam o niej od dzieciństwa? Wczoraj spytała mnie moja współtowarzyszka „niedoli", jak to się stało, że znalazłam się tu, na Festiwalu. „Przecież masz dopiero 17 lat? – dziwiła się. – Dawno śpiewasz?" I co miałam jej odpowiedzieć? Że śpiewać zaczęłam 3 miesiące temu. Że mi to przedtem do głowy nie przyszło. „Bo ja jestem z rodziny muzycznej i od piątego roku życia gram na fortepianie" – chwaliła się moja starsza koleżanka. Skończyłam tę rozmowę jakąś wymówką, że muszę jeszcze odebrać sukienkę, czy coś w tym rodzaju.

Ten piekielny pociąg do Chrzanowa w styczniu. Jechaliśmy grupą na zimowisko. Wytypowali za dobrą pracę społeczną. Cieszyłam się. Dwa tygodnie frajdy. Wesoły nastrój prysnął po 10 minutach jazdy. Nasza opiekunka przypomniała nam, po co jedziemy. W Chrzanowie odbywał się taki mały festiwal amatorskich teatrów poezji. Tak, to prawda, prowadziłam nasz szkolny teatr. Ostatnio nawet koledzy gratulowali nam dobrego przedstawienia „Ballada Zimowa". To właśnie tę „Balladę" mieliśmy zaprezentować na zimowisku. I żeby całą naszą zgraną już trupę teatralną wzięli. Ale nie. Było nas sześcioro, 4 dziewczyny i dwóch chłopaków. Urszula i ja – to ostatnie widowisko prawie same „zrobiłyśmy". Dwie pozostałe dziewczyny gdzieś tam, kiedyś, jakieś wiersze na akademiach mówiły. Chłopcy, niestety, nigdy. Kilka godzin w pociągu, potem cały dzień już na miejscu, próbowaliśmy sklecić coś zbliżonego do „Ballady Zimowej".

Gdybym wiedziała, że patrzeć i słuchać będą nie tylko uczestnicy obozu, pewnie bym się nie zdobyła na występ. A już na pewno nie mówiłabym wiersza, który... sama napisałam. Ale na wycofanie się było za późno. Przyszło mi zobaczyć na twarzy pana z telewizji grymas, który trudno było określić grymasem zadowolenia, zaciekawienia naszym cudownym poziomem. Przyszło też wysłuchać uwag o mojej dykcji. „Nie jest ona taka zła, kochanie. Musisz tylko starać się tak nie syczeć". Drobnostka, nie syczeć. A mnie się zdawało, że mówię wyraźnie i czysto. Byli nawet aktorzy. Pan Czechowicz pohukiwał na nas z pustej widowni. „A ty ruszasz się, jakbyś kij połknął. A ty – to do mnie – nie chowaj rąk, przecież nie jesteś Wenus z Milo. Ręce też mówią". Można by powiedzieć, że każdy ceniłby sobie rady sławnych ludzi teatru. Powinnam myśleć o tym, jakie to szczęście korzystać z doświadczenia innych, mądrzejszych. Ale ja byłam zła. I po co się wygłupiłam. Ośmieszyłam. Zawsze było mi raczej z sobą dobrze. Rodzice zadowoleni z dobrze, ba, wspaniale uczącej się córki. „Jola nigdy się nie nudzi" – tak mówili do swych znajomych. Działa tu, działa tam. W miasteczku wszyscy wiedzieli, że jak trzeba, to i wiersz na akademii ładnie powiem, a jak trzeba to zorganizuję wieczór przy świecach. I plakat wymalować ta Wilkówna też potrafi. Wszystko przez ten strach przed ośmieszeniem. Muszę być najlepsza! Być tą jedyną, która zrobi wszystko najlepiej, bezbłędnie.

Lubiłam słuchać anegdot rodzinnych o sobie. Ot, choćby wspomnienie mamy o tym, jak z płaczem przybiegłam do niej, to było chyba w I klasie, w podstawówce. „Co się stało? Skrzywdził cię ktoś?" – zmartwiła się mama, widząc moją rozpacz. I o co chodziło?! O to, że na rytmice, w jakimś krakowiaku czy kujawiaku tańczę w III parze! A ja musiałam być w pierwszej. I co? Po tygodniu byłam najlepsza. Ćwiczyłam w domu całymi południami. „Nie lubi być w cieniu!" – mówili z dumą o mnie rodzice.

Jakbym chciała tu zostać, w tłumie. Za kulisami. Właśnie dziś zostać w cieniu. Tu się nie ośmieszę. Przyzwyczaiłam się do tego ruchu, pokrzykiwania. „Bliżej mikrofonu, myśl o wyciągnięciu tej nieszczęsnej «góry». Pilnuj tempa. Wejście musi być czyste". Tyle ludzi. Przyzwyczaiłam się też, że jestem, ot jedną z wielu takich próbujących śpiewać. I nikt tak naprawdę nie zwraca na mnie uwagi.

Pamiętam, jak znalazłam się w Opolu, to pierwsze wejście na salę prób trwało okropnie długo. Wszyscy będą patrzeć, zwracać na mnie uwagę. A potem rozczarowanie czy zadowolenie? Nikt znowu tak koło mnie się nie kręcił. Jedynie pan Kostman, który zaproponował mi w Chrzanowie próby w studio debiutów telewizji katowickiej spytał: „No jak, mała, wyciągniesz wreszcie tę «górę» czy się załamiesz?"

– Jeszcze dwie piosenki! – ktoś krzyknął do mnie. Stałam za kulisami zmarznięta, i pewnie miałam dosyć nieszczęśliwą minę.

Teraz stanie się. Struchlałam. „Nie bój się, dziecko. Wszystko pójdzie dobrze" – to garderobiana ze szklanką herbaty. I albo miły głos, albo herbata sprowadziły na mnie spokój. Jesteś u siebie w domu – myślałam. Przed kolejnym „seansem" wieczornym.

Te seanse to moja ulubiona rozrywka. Magnetofon, stara cytra dziadka, jakieś „stukałki". Nagrywam często takie niby słuchowiska muzyczno-poetyckie. Recytacją i wszystkimi dostępnymi dźwiękami tworzę nastrój. Ot, na przykład „narodziny diabła". Hałasu, strasznych tupotów, „czarnych" szumów jest wtedy co niemiara. Tak więc teraz wyjdę na scenę i będzie to jeszcze jeden z moich wygłupów. To jedyna metoda, żeby nie widzieć sali, telewizji... Nie myśleć o ośmieszaniu się i jego konsekwencjach. Przecież do diabła, zwyciężyłam w bojach o fryzurę, zostawiając swoje warkoczyki. Mizerne i śmieszne, ale moje. Dałam odpór nasadzeniu na mnie wielkiej kreacji. Moją sukienkę szyła mi całą noc moja mama. A kariery piosenkarskiej i tak nie chcę robić. Nie ma sceny, to tylko mój pokój, mój dom. Potem najwyżej będą wymówki, że hałas i moje wygłupy nie dały rodzinie spać.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Fot. K. Pawela

„11.40 GMT NEW – PORT"

MASZT (9)

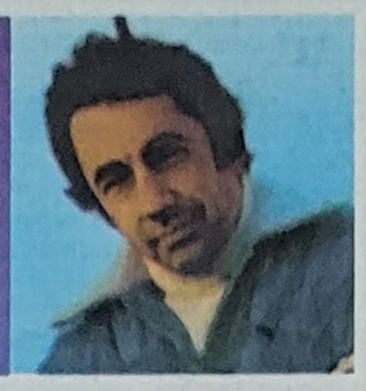

Godzinę temu, jeszcze na lądzie, stałem w grupie kapitanów kilku jachtów. Padały propozycje umowy, by w tym dniu darować sobie spinakery.

– Umówmy się, chłopaki, że nie będziemy stawiać spinakerów, po co się mordować, nic już się nie zmieni, we wszystkich klasach sytuacja jest jasna. W tej ósemce tylko ramki zostaną z żagli. A pod Helem może być jeszcze lepiej niż osiem. Nic z tego. Nie było jachtu, na którym zaraz po starcie nie postawiono by spinakera. Kto miał, stawiał również Big Boy'a, nylonowy, kolorowy pół-spinaker. Mieliśmy dobry start, płynęliśmy w czołówce, mając przed sobą jedynie kilka większych jachtów z I klasy. W miarę oddalania się od brzegu rosła fala, wiatr był coraz silniejszy, kręcący, szkwalisty. Co chwilę szły po wodzie ciemne smugi szkwałów, doganiały nas. „Ogar", zdawało się, wychodził wtedy z wody, unosił się pędził w bryzgach, całych kaskadach, spienionej, rozcinanej dziobem wody.

W ostrym lipcowym słońcu cudowna, szalona jazda, pełna rolingów, gwałtownych skrętów, przyśpieszeń. Spinakery, Big-Boy'e, nylonowe cienkie tkaniny, napięte do granic wytrzymałości. Chłopcy spięci, czujni, oczy wpatrzone w żagle, liny, wskaźniki kierunku, prędkości, pilnujące, uważne. Jeden błąd, sekunda nieuwagi, głębszy przechył i jacht momentalnie skręca, idzie do wiatru, nie słucha steru, spinaker załamuje się, plącze, skręca, szarpie, owija się wokół siebie, wokół sztagu, przechył pogłębia się, woda szoruje pokład. Jedno, drugie szarpnięcie, sternikowi udaje się znaleźć odpowiedni moment między kolejnymi uderzeniami szkwałów, chwilowe wyprostowanie w dolinie fali i jacht opada, znów rufą do wiatru, spinaker gwałtownie wypełnia się wiatrem i – pełny gaz!

Pod Helem stoi boja. Jachty muszą minąć ją prawą burtą, za nią wyostrzyć do wiatru i w prawo, w kierunku Gdańska, gdzie znów za boją w prawo i na metę w Gdyni.

Kilkadziesiąt metrów przed boją pośla w górę genoa dwa, na której będziemy płynąć za boją i która zasłonić ma spinakera, kiedy jego 110 metrów kwadratowych będzie chciało ulecieć w powietrze w czasie zrzucenia. Najpierw Big Boy, w sekundę po nim spinaker, zamieniając się w bezkształtną kupę nylonu na pokładzie, przytrzymywaną przed ucieczką z wiatrem przez pięć par rąk i nóg, by za chwilę zniknąć pod pokładem. Do boi coraz bliżej, trzeba jeszcze wypiąć bom spinakera, ułożyć go na pokładzie, przywiązać, wypiąć topenantę, obciągacz, wpiąć w uszka na koszu dziobowym szekle szotów, wybrać wszystkie luźne liny, obłożyć, zabezpieczyć, wybierać szoty genoy, szot grota.

Między ciałami, rękami, nogami tych, którzy szaleją na pokładzie sternik wypatruje boi, która już jest przy burcie. Nie uderzyć jej, minąć jak najbliżej, bo każdy metr, każda sekunda się liczy. Jacht kręci, przytrzymać sterem na 30 stopniach do wiatru, nie dopuścić do za dużego przechyłu, bo skoczy do wiatru. Jeden na sterze, drugi kręci jeszcze korbą kabestanu, wybiera szot genoy, pięciu już siedzi na nawietrznym brzegu pokładu, nogi zwisają za burtę. Jak pięć mokrych wróbli na krawędzi rynny, ciasno przytulonych skrzydło w skrzydło. Idą od dziobu fontanny wody, wróble odwracają głowy, szczerzą zęby, oczy skierowane za rufę, tam następni kręcą zwroty na boi. Przechył za duży, trzeba zarefować grota. Hany – pierwszy od dziobu, wyplątuje nogi spod sztormrelingu, półprzewrót przez ramię i już przykucnięty przy maszcie zwalnia hamulec windy fałowej. Druga ręka obejmuje maszt. Widzę, że jakoś dziwnie zaczyna się kręcić wokół masztu. Nie, to maszt razem z windami kręci mu się w rękach. Nie mogę uwierzyć oczom, taki silny?

Widzę odwróconą do mnie twarz Hanego, pełną zdumienia i bezradności, a jednocześnie widzę za nim jak genoa, zasłaniająca dotąd sporą część horyzontu nagle znika, nie ma jej!

Jacht gwałtownie się prostuje. Na pokładzie kłębią się jak zasieki splątane, stalowe liny, bom grota podskakuje na nadbudówce, ktoś szamoce się pod przykrywającymi go fałami grota. Nad głową stojącego już Hanego kołysze się jak wahadło top masztu. Teraz dopiero podnoszę głowę. Robi się ciemno w oczach i bardzo ciężko na sercu. Nie mamy masztu, to znaczy mamy go, ale dwa metry pod górnym salingiem jest wygięty i złamany. Jak źdźbło trawy. Trawy stalowej, średnicy 102 milimetry. Nie mamy masztu, nie mamy złotego medalu. Mamy za to masę kłopotów, genoa w wodzie, jacht dryfuje na nią, nie można jej wyciągnąć spod kadłuba. Sztag, stalowy pręt, skręcony, zwinięty w ogromną sprężynującą, ruchomą spiralę. Jeden jego koniec przymocowany jest do okucia. Na dziobie drugi do kołyszącego się topu masztu, a środek razem z żaglem zniknął pod wodą. Stalowe liny, wanty, sztagi, fały, dotąd wyprostowane, napięte, przyjazne, teraz skłębione, ruszające się bezładnie, groźne, niebezpieczne dla ludzi, którzy usiłują cały ten bałagan jakoś opanować. Z trzaskiem łamie się jeden z dolnych salingów, obciążony wantami, spada na głowy.

cdn

KAZIMIERZ JAWORSKI

Fot. S. Rakowski

Mały słownik żeglarski

Topenanta – część olinowania ruchomego – w tym przypadku lina podtrzymująca nok (wolny koniec) bomu, biegnący od noku bomu na topie (czubku) masztu.

Szekla – klamra – wygięty w kształt podkowy pręt stalowy ze spłaszczonymi końcami, w których wywiercone są otwory dla wkładania bolca z gwintem na jednym końcu, lub z zawleczką. Służy do łączenia lin i łańcuchów ze sobą i z innymi częściami osprzętu.

Szoty – liny służące do poruszania żaglem w płaszczyźnie poziomej. Żagle przednie mają przeważnie po dwa szoty – prawy i lewy.

Grot – żagiel podnoszony z tyłu masztu – między masztem a bomem.

Kabestan – winda obracająca się wokół osi pionowej. Służy do wybierania cum i innych lin.

Nawietrzna (nawietrzna burta) – ta burta jednostki, w którą uderza wiatr. Na jachcie żaglowym idącym prawym halsem, nawietrzną jest prawa burta.

Zarefować – refować – zmniejszyć powierzchnię żagla.

Nasza czytelniczka pisze z Maroka

MEKNES
miasto u stòp Atlasu

Wnętrze meczetu Moulay Ismaila. W głębi jego grób

Od dwóch lat mieszkam w Maroku, w Meknes. Jest to duże, nowoczesne i zupełnie europejskie miasto na północy Maroka, około 140 km na wschód od Rabatu (stolicy kraju) i brzegu Oceanu Atlantyckiego. W zimie już 60 kilometrów za miastem można pojeździć na nartach lub sankach, a latem w stosunkowo bliskim Rabacie – pójść na plażę. Poza tym klimat w Meknes uważany jest za najbardziej zdrowy w Maroku. Ale latem bywa tu czasem gorąco – ok. 40 stopni w cieniu. Często wieją tzw. szergi – gorące i suche wiatry znad Sahary, niosące ze sobą pył i piasek. Położenie miasta jest bardzo malownicze. Zbudowano je u stóp gór Atlasu, na licznych pagórkach i wzniesieniach.

Mała dolina, której dnem płynie rzeka Boufkrane (Bufkran) oddziela dwie części miasta: Medinę i Nowe Miasto. Nowym Miastem jest nazywana ta część Meknes, w której mieszczą się wszelkie urzędy, biura i banki oraz duże, nowoczesne sklepy i dzielnice mieszkaniowe, budowane przez Francuzów, bądź przez bogatych Arabów. W wąskich uliczkach Medinu kwitnie handel. Począwszy od pięknych marokańskich dżelab (bluzek i kaftanów) można tu dostać wszystko. W tej starej dzielnicy mieszkają wyłącznie Arabowie i Żydzi. Ich domy z zewnątrz wyglądają na ponure i skromne, ale w środku olśniewają pięknymi dekoracjami (przeważnie sufitów) i rzeźbami.

W Medinie znajdują się również ruiny pałacu królewskiego z XVIII wieku, zbudowanego przez króla i sułtana Maroka – Moulay Ismaila (czyt. Mulej Ismajla) z pięknią, olbrzymią bramą ozdobioną mozaiką. Na terenie dawnego pałacu w piwnicach było więzienie, gdzie trzymano wziętych do niewoli jeńców, w szczególności chrześcijan. Dalej znajduje się meczet i zarazem mauzoleum Moulay Ismaila, który obrał Meknes za stolicę swego królestwa „zachodzącego słońca". Jest to ponoć jedyny meczet w Maroku, który można zwiedzać. Wchodzi się do niego przez kilka skromnych dziedzińców. Na jednym z nich jest mała fontanna, w której Arabowie – zgodnie z tradycją – myją ręce, twarz, nogi. Następnie, zdejmując buty, wchodzą do właściwego pomieszczenia. Jest to duża sala bogato ozdobiona pięknymi, kolorowymi mozaikami i rzeźbami na drzwiach i suficie. Panuje tu półmrok. Muzułmanie siadają w kąciku na trzcinowych matach, a często na przyniesionym przez siebie dywaniku i modlą się po cichu lub po prostu rozmyślają czy medytują. Kobiety z dziećmi przeważnie siedzą na trawnikach otaczających meczet.

Liceum misji francuskiej, do którego chodzę, jest koedukacyjne i znajduje się na uboczu Nowego Miasta wśród eukaliptusowych, oliwnych i pieprzowych drzew oraz ładnych gazonów i trawników. Mieści się w dwóch jednopiętrowych budynkach. W dwóch następnych znajduje się internat i biuro administracyjne. Od szkoły podstawowej dzielą nas tylko dwa duże trawniki.

Jestem uczennicą klasy 4, czyli – tłumacząc na polski – VIII d. Liceum francuskie zaczyna się bowiem od polskiej VI klasy.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

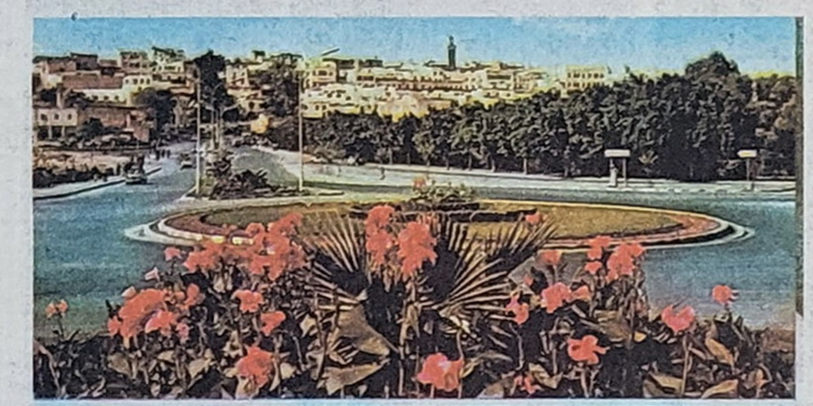

Widok na Medinę od strony Nowego Miasta

Brama w Medinie, zbudowana w XVII wieku

„Dolina Szczęścia", czyli ogród botaniczny, leżący pięć kilometrów za miastem Meknes

REDAKCYJNA POCZTA

Jak się zmienić?

Dobrze się uczę, ale... nie umiem usiedzieć spokojnie na lekcji. Zajęcia szkolne wydają mi się nudne i nieciekawe, cały czas więc rozrabiam. Nauczyciele i koleżanki mają mi to za złe, a chłopcy śmieją się z moich dowcipów. Wiele razy przyrzekałem już sobie, że się uspokoję, ale kiedy przychodzę do szkoły, nie mogę się powstrzymać. Jestem też nerwowy. Czasami wybucham niepotrzebnie. W domu jestem raczej spokojny. A rozrabiać na lekcji nauczyłem się od mojego kolegi. Tak już jest od piątej klasy. Proszę Was, odpiszcie mi, co mam zrobić, żeby się zmienić. Chciałbym się zaprzyjaźnić z jakąś miłą dziewczyną, może to wpłynęłoby dodatnio na mój charakter.

„Czarny"

Dosłownie „ruszyło" nami...

Do napisania tego listu skłoniła nas chęć ustosunkowania się do listu zamieszczonego w n-rze 117 „ŚM".

My również mieszkamy w internacie, lecz nie dręczą nas podobne problemy. Smutne jest, że właśnie mieszkańcy internatu podają w wątpliwość swoje obowiązki. Bo na pewno są nimi prace porządkowe, polegające na sprzątaniu klozetów, umywalni itd. Nie rozumiemy dlaczego, u licha, przypisywać trzeba te czynności sprzątaczkom. U nas wszystkie te roboty wykonujemy sami, mimo obecności sprzątaczek. I wcale nie robimy tego z musu, lecz z poczucia obowiązku i higieny. Może nie wszyscy, lecz ci, którym się nie podoba, muszą „krakać" tak jak my. Teraz przechodzimy do sprawy dyżurów. Pierwsze, co się nam nasunęło, to wątpliwa prawdziwość przedstawionej sytuacji. Bo nie bardzo wierzymy w taki brak wyrozumiałości u wychowawców, o jakim wspominają autorzy listu. Profesorowie rozumieją nas na tyle, aby usprawiedliwić nieprzygotowanie do lekcji w dniu następnym po dyżurze w kuchni, który trwa calutki dzień (od 6.00 do 21.00). A czymże oni różnią się od licznego grona pedagogów w całej Polsce? Podejrzewamy, że niczym.

Robert Ślusarczyk
i Romuald Lehmann
uczniowie Liceum Lotniczego
przy WOSL w Dęblinie

Czemu nam nie odpowiadają?!

W 53 numerze z 4 maja 1978 r. znaleźliśmy adres kieleckiej szkoły podstawowej, noszącej imię Władysława Broniewskiego – żołnierza, poety, patrioty.

Odpowiedzieliśmy na wezwanie szkoły w Kielcach podając nawet ciekawe według nas formy pracy, które propagujemy, by poznać przyszłego patrona. Jest już październik, a Samorząd Szkoły w Kielcach milczy. Nie otrzymaliśmy również odpowiedzi ze szkoły w Zawierciu, o której dowiedzieliśmy się także za pośrednictwem „Świata Młodych". W ubiegłym roku pisaliśmy do „Płomyczka". Otrzymaliśmy bardzo miły list (serdecznie dziękujemy) z adresem szkoły warszawskiej. Także nie odpowiedzieli!

Bardzo nam przykro, że młodzież z większych miast nie chce nawiązać z nami kontaktu. Zapewniamy, że nasze miasteczko (dawna nazwa Dąbrowa-Bór) jest piękne i znane z przemysłu metalowego.

Samorząd uczniowski kl Ve
Szkoła Podst. nr 6
23-210 Kraśnik

OD REDAKCJI: Sądzimy, że szkoły, które na łamach naszej gazety prosiły o kontakt, na list uczniów z Kraśnika odpowiedzą. Bo przecież odpowiedź na listy, o które się prosi, należy nie tylko do dobrego obyczaju, ale i do obowiązku. (wm)

Rzadko mam dziś okazję przewieźć ludzi przez rzekę – mówi stary przewoźnik Andrzej Wróbel

Na końcu „główki" strażnik stawia tzw. wesołka. Tyczka zwieńczona liśćmi widoczna będzie już z daleka

TO SZTUKA „CZYTAĆ" RZEKĘ

Mgła taka, że na kilka metrów przed dziobem samo „mleko". Holownik płynie wolno. „Żeby tylko nie utknąć w piachu" – myśli kapitan. Musi przecież dowieźć barki z faszyną do miejsca przeznaczenia. Nagle krzyczy: „Złamaniec! Widać złamaniec"! Pływający „pociąg" zatrzymuje się. Trzeba odnaleźć drogę. Tą starą, utartą, już nie przejdzie.

„Nigdy nie jest tak, żeby nurt raz ustawiony był wieczny. Wisła to trudna rzeka, ale jak się ją zna, niespodzianek nie jest tak dużo". Stanisław Majchrzak od 28 lat wstaje codziennie przed świtem. Tuż przed wschodem słońca – twierdzi – rzekę „czytać" można jak wyraźny, precyzyjny rysunek. Przemierza więc każdego dnia swój odcinek. Między 286 i 300 kilometrem „czyta" tę swoją wodę. Nic się dziś nie zmieniło; tyki i bakeny (jeden z rodzajów boi przeznaczonej do oznaczania szlaku żeglownego) stoją jak stały – myśli. Po dwóch kilometrach wolnego „pychowania" już z daleka widzi nagłe, niespodziewane zmarszczenie. A tam jeszcze wczoraj woda gładka była jak lustro. Niespokojny podpływa, maca grunt wielgachnym wiosłem. Czuje opór, a przecież wie, że w tym miejscu 10-metrowa głębia zawsze była. Stuka pychem po „niespodziance". Już wie, drzewo znów skądś przywędrowało. Zaczepiło konarem o dno. Nie, tyka czarna, ani czerwona nie nadaje się. A tylko te przygotował na dzisiejszy obchód. One wyznaczają drogę. Między czarnym kolorem przy brzegu lewym, a czerwonym, po stronie prawego, statek i barki przepłyną spokojnie. „Zawsze w łódce zapas tyczek musi być, bo rzeka narowistá" – tak mówi Majchrzak. „Jak zechce wyrywa z piachu tyki i bakeny, i zabierze z prądem".

Ale co z tym drzewem? Prawie na samym nurcie leży. Brzeg wiślany niedaleko. Trzeba z łódki wysiąść na brzeg, wyciąć o, taką grubą na 3 palce wiklinę i złamać na końcu. Teraz „złamaniec" ostrzegać będzie skutecznie. Tylko czy barka w tym wąskim przesmyku się zmieści? Przeszkoda zwęziła drogę bardzo. „Trzeba poprzesuwać oznakowanie jak się tylko da – słowa strażnika z Janiszowa podparte są rysunkiem wykonanym w powietrzu – bo drogę zawsze wyznacza się na zapas. Szlak idzie po najgłębszej linii. Ale jak trzeba, jak coś niespodziewanego wyskoczy, można przesunąć oznakowania, skorzystać z zapasu. Wtedy spokojny odpływa, już w tym miejscu żadnej katastrofy nie będzie.

Znów raz pychem, i dwa, i trzy. Mgła wzbiera nad rzeką. Trzeba się spieszyć z robotą. Czeka go jeszcze droga powrotna. A może trafi się jakiś statek. Bo pod prąd ciężko płynąć. Jak tylko jest okazja, doczepia się do ostatniej barki. Szybciej człowiek w domu obiad zjeść może. A dziś jak na złość – nic. Może – mgła wypłoszyła dzielnych wilków wiślanych. Tak jak kilka miesięcy temu. Mozolna była wtedy droga – wspomina. Z każdą minutą mgła była coraz gęstsza. Wiedział dobrze, ile trwać może droga do domu. Toteż po kilku godzinach pomyślał, że już pora przybijać do brzegu. I ruszył. Pewnie w poprzek rzeki. Tak mu się zdawało. Wciąż już, już przybijał do lądu i wciąż był na nurcie. Drogi znaleźć nie mógł. Można wtedy liczyć tylko na ludzi z lądu. Wrzeszczał więc jak opętany. Godzina była taka, że jeszcze ktoś na budowie, na brzegu musiał się kręcić. Usłyszeli. I tak na ich głosy umęczony strażnik dotarł do celu. I mimo zmęczenia musiał jeszcze przemierzyć swoją „kępę" o powierzchni przeszło 39 hektarów. Czy wszystko w porządku, czy wszędzie na jej brzegach „faszynowe materace" leżą tak, jak leżeć powinny. Bo niech tylko zobaczy przesunięcie. Niech tylko dojrzy przerwę w faszynie, zapamiętać musi to miejsce, by jak najszybciej zło naprawić. „Kiedyś – powiada – „kępa" gnębiła mnie jak chciała. Wisła brzegi zabierała. Ot, nieraz stodoła, chałupa z wodą popłynęły". A teraz? Czy rzeka posłuszniejsza, spokojniejsza? „Eee, nie – mówi Majchrzak i dodaje – ona zawsze robi co się jej podoba". Tłumaczy, że technologia umacniania brzegów się zmieniła. Dziś faszynę kładzie się nie bezpośrednio na ziemię. Tony ubitych kamieni pod nią już stanowią dobre zabezpieczenie. A tam gdzie nurt wyjątkowo kapryśny i zmienny? Tam buduje się tamy poprzeczne, czyli tzw popularne „główki", na których z takim upodobaniem siedzą godzinami wędkarze. „O, a tu na wysokości Zawichostu – wskazuje ręką pan Stanisław – na kilometr albo i dwa budujemy wzdłużnicę, tamę łączącą kilka główek. Wtedy, rzeka nie zerwie brzegu. Choćby nie wiem jak chciała. Nawet jak powódź będzie to wleje się na ląd spokojnie. Łatwiej będzie wodę okiełznać".

Co dzień przemierza te swoje kilometry strażnik z Janiszowa. I na jedno narzeka. Nie na wodę, którą zna i z którą można by tak rzec, przyjaźni się od czasu kiedy jako kilkuletni brzdąc podpływał łódką do ojca na barkę. Wszystko się zmienia, ruch duży na Wiśle. Faszynę wiozą i drzewo. Nikt „na burłaka" barki nie ciągnie, jak ojciec Stanisława, który – bywało – aż do Sandomierza brodził po brzegu, ciągnąc koszmarny ładunek. Nie boi się też dziś o siebie, o to, że sterczący pal, nie sprzątnięty na czas, przebije drewnianą łódkę. „Plastik, niczego bać się nie musi". Żeby jeszcze nie doczepiać się w ogonie za pływającymi barkami. Żeby tak dostać mały choćby, ale silnik. Wskoczyć do łódki zapalić i... w mig znaleźć się tam gdzie „rzeka woła". „Proszę pani – mówi z lekkim żalem – toć ja na tym pychu jakbym z Wisły, takiej sprzed 100 laty się „urwał". Może teraz dadzą – machnął ręką – a jak nie, to syn „na pychu" płynąć już nie będzie. Będzie szybszy niż ja – kończy – ale rzekę „czytać" musi umieć. Bez tego nowoczesność na nic się zda".

Szukając strażnika dotarłam do Zawichostu. I wtedy okazało się, że innej drogi, poza przeprawą przez Wisłę, nie ma. Pierwsza osoba, którą spytałam o możliwość dotarcia do Janiszowa wskazała mi drogę biegnącą w dół, nad samą rzekę. „Tam czeka w łodzi Wróbel, sprawi mu pani wielką radość. Ten człowiek wyrósł na Wiśle. Całe pół wieku był z nią związany zawodowo. Teraz łowi ryby. A jak zdarzy się okazja to z ogromną przyjemnością bawi się w przewodnika".

Stary Wróbel nie wstydził się swojej drewnianej „pychówki". W czasie krótkiej drogi z brzegu na brzeg usłyszałam wiele o tym, że 50 lat pływał Andrzej Wróbel – przewoźnik, na barkach. Nie, najpierw na galarach. A teraz od 11 lat na emeryturze bawi się w przewożenie ludzi. Żeby dorobić. Ale cóż to za zarobek jak raz, czy dwa razy na dzień, albo i wcale, pracy nie ma. „Teraz to ludziska samochodami jeżdżą naokoło. Był tu kiedyś prom woził nawet furmanki. A teraz? Szkoda – spokojnie wiosłując opowiadał 78-letni Wróbel – szkoda, że na barkach pływać nie mogę".

Kiedy zaczynał jako 17-letni chłopak do pracy, pierwszego dnia, wszystko z sobą przynieść musiał. I siennik, i garnuszek, łyżkę i widelec. „Dziś – powiada – to i kobieta może na Wisłę płynąć". Wszystko jest. Buty nawet dają. Ubranie. Wszystko. Kiedy Niemcy uciekali – wspomina przewoźnik – zatopili 3 barki. Rwali się do roboty starzy barkarze z Zawichostu, a między nimi Wróbel. Postanowili statki wyciągnąć z dna. I ot, wzięli takie „flasenzugi" – windy, bardzo prymitywne urządzenia i wyciągnęli. Naprawili. To było bohaterstwo! A dziś opowiada mi o tym jeden z bohaterów czasów powojennych jak o czymś zwykłym. I podejrzewam, że nie dla zarobku pływa, przewozi nielicznych pasażerów. Jest to dla niego dalszy ciąg życia na Wiśle. Bez tego pewnie straciłby całą energię. Z dumą tłumaczy jak trzeba manewrować pychem, by wbrew rzece chcącej ponieść łódkę z prądem, przybić dokładnie w takim punkcie, jakim zamierza. „Mnie teraz niepotrzebny silnik" – mówi. Ma czas, jak twierdzi, patrzeć, słuchać jak woda gada. Strażnik Majchrzak skarży się, że nowoczesności mu brak, że na tle holowników, barek sunących po Wiśle A.D. 1978 r. wygląda śmiesznie.

Obydwaj, Majchrzak i Wróbel, wspominają jedno wydarzenie. Sprzed kilku laty. „Kiedy to, proszę pani, taki młody za prowadzenie statku się wziął. Nie słuchał wody, nie patrzył na znaki i... barka z dziurą, o taką na całą dłoń stała długo przy brzegu. Bo to jest gorsza jazda niż na szosie. Uruchomić można maszynę szybko, ale „czytać" te wiślane stronice uczy się człowiek przez całe życie."

EWA MIKO
Fot. **Marek Szymański**

Odpowiadamy na listy

Nie spodziewaliśmy się aż takiej nawałnicy listów w związku z GO. Obiecując, że wyślemy zasady gry każdemu kto do nas napisze, nie przypuszczaliśmy, że będzie aż tylu chętnych! Przyszło kilkaset listów, a my, niestety, dysponujemy tylko 300 egzemplarzami reguł. W związku z tym postanowiliśmy wylosować tyle właśnie listów spośród tych, które nadeszły.

W jednym z przyszłych odcinków podamy adresy klubów GO (lub osób, przez które można nawiązać kontakt z klubami).

Nadesłane listy zawierały wiele pytań wymagających odpowiedzi. Dlatego też kilka z nich wyjaśnimy.

Wiele osób pyta o ilość pionów – w zasadzie każdy z graczy dysponuje tyloma, ile mu trzeba. Widać, że wystarczy po ok. 180 kamieni (180 + 180 = 360, a plansza zawiera 361 pól).

O sprzęcie, tj. o tym jak zrobić planszę lub gdzie kupić komplet do gry, będzie mowa w oddzielnym odcinku naszego cyklu.

WARSZAWSKI KLUB GO FSZMP

Nie pozwólcie umysłom gnuśnieć, grajcie w GO

(Konfucjusz)

Na pytanie kto przydziela dany i kyu, trudniej odpowiedzieć. To nie jest tak jak np. w szachach, gdzie trzeba grać w specjalnych turniejach. Każdy sam określa ile ma kyu (lub dan). To znaczy: jeśli np mam 2 kyu i gram z graczem o sile 4 kyu, to w grze daję mu 2 handicapy. Gra taka powinna być wyrównana. Ale jeśli zagram tak kilka partii i zawsze będę znacznie wygrywał – to albo on jest słabszy (ma więcej niż 4 kyu), albo ja silniejszy. Rozstrzygnąć może gra z zawodnikiem o znanej sile. Dlatego też dobrym sprawdzianem są kontakty z innymi graczami, np. na turniejach.

Przyszło też bardzo dużo listów z prośbą o problemy, zadania czy też przykładowe partie w wykonaniu mistrzów. Spełnienie tej prośby będzie możliwe dopiero wtedy, gdy wszyscy poznają przynajmniej przepisy gry. Jeśli chodzi o organizację turnieju, przez „ŚM", będzie to możliwe dopiero, gdy powstanie wiele klubów na terenie kraju oraz gdy chętni do udziału w nim będą reprezentowali już pewien poziom (myślimy o turnieju w czasie wakacji).

Marek Kopyt

GWIAZDOZBIÓR

LISTOPADOWE SPOTKANIA

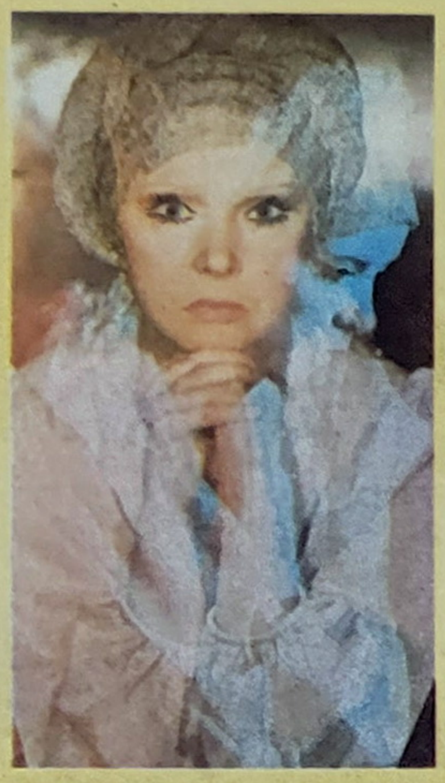

LUDMIŁĘ GURCZENKO zobaczymy w „Sprzężeniu zwrotnym" – dramacie Wiktora Tregubowicza

GALINĘ POLSKICH zobaczymy w filmie Igora Gostiewa „Front za linią frontu"

To już XXXII Dni Filmu Radzieckiego w Polsce. W tym miesiącu wejdzie na ekrany dwanaście nowych reprezentacyjnych dla tego kina tytułów. Będzie więc okazja do zobaczenia w nowych rolach najlepszych aktorów, z których wielu przedstawialiśmy w „Gwiazdozbiorze", a także „nowych twarzy" – utalentowanych artystów młodego pokolenia, których debiutancki sukces daje nadzieję, że spotkamy się z nimi na ekranach jeszcze nieraz.

I tak w najpiękniejszym filmie tegorocznych „Dni" – w **„Stepie"**, wiernie reżyserowanym przez **Sergiusza Bondarczuka** na podstawie opowiadania Czechowa pod tym samym tytułem, będziemy podziwiać znakomitą grę samego reżysera, jego żonę **Irinę Skobcewą**, zwaną wielką damą radzieckiego kina za swoje „arystokratyczne" role) i świetnego **Innokientija Smoktunowskiego.**

W filmie **„Sprzężenie zwrotne" – Wiktora Tregubowicza** zobaczymy znanego nam **Olega Jankowskiego** i **Ludmiłę Gurczenko.** Ludmiła sławę zdobyła jako studentka III roku WGIK po premierze komedii „Noc Sylwestrowa" Eldara Riazanowa (1962 r.). Kto ten film oglądał, z pewnością pamięta uroczą piosenkę:

„Będzie uśmiech na twych wargach
będą oczy uśmiechnięte
i dzisiejszy dobry nastrój
już cię nie opuści więcej."

Potem przez dziesięć lat grywała w miernych komedyjkach: „Dziewczyna z gitarą", „Pogromcy rowerów", „Roman i Francesca", „Człowiek znikąd" i została prawie zapomniana. Nagle objawiła kolosalne możliwości dramatyczne. Zagrała w filmie „Być kobietą" Wiktora Tregubowicza rolę dyrektorki fabryki, kobiety, której życie osobiste nie układa się. Dziś często grywa w komediach i musicalach, jest bowiem bardzo muzykalna, ma miły, matowy głos. Zagrała 30 różnorodnych ról, w tym wiele dramatycznych i złożonych psychologicznie. Taka jest i w „Sprzężeniu zwrotnym", a w jej talent już nikt nie wątpi.

W filmie **„Drzewo pragnień" Tengiza Abuładze**, nakręconym na motywach gruzińskich opowiadań Georgija Leonidze, wśród wielu gwiazd gruzińskiego kina zobaczymy największą, znaną naszym czytelnikom **Sofiko Ciaureli.** Interesujące aktorstwo, temat dla nas egzotyczny. Szkoda tylko, że film wyświetlany będzie wyłącznie w DKF-ach i kinach studyjnych.

Po raz pierwszy w dramacie filmowym **„Skok z dachu"** w reż. **Władimira Grigoriewa** spotkamy się z **Mariną Sołominą.** To już druga główna rola młodziutkiej Mariny. Prawie równocześnie zagrała bowiem w debiucie reżyserskim Tofika Szachwierdiewa „Dwoje w nowym domu". Artystka, choć nie ma wykształcenia aktorskiego, ujawnia w obu rolach silną i ciekawą indywidualność.

Podobnie **„Kurierzy dyplomatyczni" Willena Nowaka** są dopiero drugim filmem **Natalii Wawiłowej.** W filmie „Ciekawe dla kochanego audytorium" Natasza zagrała przedtem dziewięcioklasistkę, która wraz ze swoimi kolegami wstępuje nie bez dramatycznych spięć na „pierwszy stopień dorosłości".

„Front za linią frontu" Igora Gostiewa to II część historii partyzanckiego oddziału walczącego w 44 r. na Smoleńszczyźnie (tytuł I cz. brzmiał „Rozerwany pierścień") w której spotkamy **Wiaczesława Tichonowa** (pamiętny Stirlitz z „Siedemnastu mgnień wiosny") i **Galinę Polskich** w roli Ziny. Galina Polskich jest w ZSRR ogromnie popularna już od swego debiutu w filmie „Dziki pies Dingo", a także grała w polskim filmie A. J. Piotrowskiego „Znaki przy drodze".

IRINA SKOBCEWA w filmie Segiusza Bondarczuka „Step"

MARINA SOŁOMINA w „Skoku z dachu" w reż. Władimira Grigoriewa

NATALIA WAWIŁOWA w filmie Willena Nowaka pt. „Kurierzy dyplomatyczni"

DOM MODY świata młodych

Nie suknia zdobi dziewczynę lecz...

Druga część zacytowanego w tytule przysłowia bywa różna. Zależnie od tego, co... wypowiadający je ma na myśli. Więc mówi się, że tym czymś najbardziej zdobiącym dziewczynę jest np. uśmiech, miłe usposobienie, towarzyskie wyrobienie itp. Ponieważ ja na ogół mówię o ciuchach więc i tym razem mam na myśli coś z tej dziedziny. Uważam, bowiem, że nie suknia jest najważniejsza (pod słowem suknia rozumiem ten tzw. ubiór główny – czyli zarówno sukienkę jak i spódnicę, spodnie, płaszcz, kurtkę...), ale – dodatki. I o nich dzisiaj mam ochotę z Wami pogadać. Mowa będzie, rzecz jasna, o dodatkach używanych w okresie jesienno-zimowym.

O dodatkach, czyli o tym, co dodaje ciuchom (w końcu na ogół banalnym, seryjnym, kupowanym w sklepie) cech indywidualnych i uroku. No i pozwala względnie tanim kosztem na zmianę stroju. Bo płaszcz np. ma się jeden, ale można postarać się o 2–3 włóczkowe czapki (i tyleż szalików tudzież rękawiczek) w różnych kolorach, które noszone do tego samego płaszcza zmieniają jego wygląd. To samo dotyczy toreb i torebek, grubych, wełnianych (bardzo modne!) skarpet, krawatów noszonych do bluzek (też modne! – pisałam o tym nie tak dawno), jakichś kamizelek itp.

Jeśli chodzi o czapki, szaliki, rękawiczki i skarpetki, to króluje rękodzieło włókiennicze. Z tym, że jeśli chodzi o ich samodzielne wydzierganie, rzecz będzie raczej dotyczyła czapek i szalików. Bo zrobić na drutach rękawiczki i skarpetki jest samemu dość trudno. Natomiast szalik i czapkę wykona każdy. Szalik – rzecz najprostsza pod słońcem, a i czapkę można stosunkowo prosto zrobić. Nabiera się na druty tyle oczek, żeby odpowiadało to obwodowi głowy i dzierga się tak długo (najprostszym ze ściegów, bez żadnego naddawania czy spuszczania), aby osiągnąć wysokość czapki. Zostawia się kawałek nitki (ok. 50 cm), nawleka ją w grubą igłę, przeciąga się igłę przez wszystkie oczka, mocno ściąga i zeszywa do dołu. Jest to czapka ze szwem, ale gdy człowiek się postara, można wykonać go tak, aby był mało widoczny. I czapka gotowa. Jak ktoś chce (i potrafi) może dorobić do niej pompon, ale nie jest to konieczne. Modne są komplety – czapka i szalik. Wielokolorowe (pasiaste – jak na zdjęciu) nosi się do gładkich okryć, jednokolorowe – do wzorzystych (np. kraciastych) i do gładkich też.

Torby i torebki są albo chlebakopodobne, albo workopodobne, zawsze na długim pasku, aby można je było nosić zarzuconę na ramię. Najczęściej uszyte z materiałów typu brezent, albo z tzw. misiów czyli sztucznych futerek. Znam parę dziewczyn, które same sobie torby podobne do tych na zdjęciu uszyły. I twierdzą, że nie jest to wcale taka znowu trudna praca.

Kamizelkę pokazuję dzisiaj tylko jedną. Z materiału (ta jest konkretnie ze sztruksu), ale równie modne są włóczkowe i o tych napiszę w jednym z najbliższych odcinków.

RIUSZKA

„ŚWIAT PO BAJCE JEST SINY I MGŁA”

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Zdobyłam V nagrodę. Tata się podobno popłakał. Całe Tarnowskie Góry gratulowały. W szkole jedni nauczyciele patrzą krzywo, inni prosto. A ja po bajce wróciłam do XI klasy i do matury...

Jeszcze raz stałam się tą najwspanialszą, która nawet na festiwalach wśród dużo starszych od siebie... Boję się teraz, nie, już nie śmieszności, bo to nie w tym rzecz. Boję się tego, że mi się zachciewa kariery piosenkarskiej, że może zdawałabym do szkoły teatralnej. A może to nie ma sensu? Boję się, że bajka, w której znalazłam się, jest tylko bajką i niczym więcej. Ogarnia mnie panika. To prawda, piszę wiersze, maluję obrazy, bawię się w teatr. Ale nic nie siedzi we mnie tak zbyt głęboko. To właśnie opolska bajka sprowadziła mnie na ziemię.

Moja ulubiona poetka Wisława Szymborska tak pisała:

Migotały sny na białym płótnie.
Dwie godziny księżycowej łuski.
Była miłość na tęskną melodię,
był szczęśliwy powrót z wędrówki.
Świat po bajce jest siny i mgła...

Zanotowała **MILENA HAYKOWSKA**

Meknes – miasto u stóp Atlasu

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

fr. 6), a kończy na IV licealnej (fr. terminal czyli 0). Klasy liczy się odwrotnie niż w Polsce. Zaczyna się od szóstej, potem jest 5, 4, 3, 2, 1 i terminal, czyli klasa zerowa.

W mojej klasie jest dużo Arabów, trochę Francuzów, Izraelitek i jedyna Polka, czyli ja. Wszyscy są bardzo sympatyczni. Nie czuję się samotna, mimo że na początku roku zostałam przydzielona do innej klasy, w której nie znałam prawie nikogo. Zajęcia trwają od 8 do 12 i od 14 do 16. Od 12 do 14 jest przerwa obiadowa, którą spędzamy w domu. Lekcja ma 50 minut, przerwa 10 minut. Nauczyciele to oczywiście Francuzi i jak na Francuzów przystało są bardzo grzeczni i mili. Często nawet wydają się być starszymi kolegami, co wcale zresztą nie zmniejsza ich autorytetu wśród uczniów. Muszę też zaznaczyć, że są oni bardzo dobrze nastawieni do Polaków. Uważają, że uczniowie polscy są bardzo zdolni i inteligentni. Jest to opinia, którą wyrobili już moi poprzednicy. Oprócz mnie do tej szkoły chodzi jeszcze kilka Polek i Polaków. Staramy się podtrzymywać tę opinię mimo trudności, jakie mamy, szczególnie z początku.

Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia dla całej redakcji „Świata Młodych” i jego Czytelników.

JOANNA LIPKO

Znacie już zapewne wiadomość o zakończeniu w dniu 2 listopada najdłuższego w historii kosmonautyki lotu orbitalnego Władimira Kowalonka i Aleksandra Iwanczenkowa. Trwał on dokładnie 140 dni czyli prawie 5 miesięcy. W następnym wydaniu TOMIKA temu ważnemu wydarzeniu poświęcimy więcej miejsca, jako że otwiera on nowe perspektywy w badaniu kosmosu, a także naszej rodzimej planety.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

KIEDY WYSTARTUJE „WAHADŁOWIEC”?

We wrześniu br. przeszły pomyślnie próby na hamowniach silniki „wahadłowca” – budowanego w USA nowego pojazdu kosmicznego. Podczas serii doświadczalnych odpaleń nagromadziły one wymagane przez konstruktorów 5 tys. sekund pracy. Nieoficjalne plany NASA przewidywały, że start wahadłowca odbędzie się we wrześniu 1979 r. Termin ten łączy się z koniecznością przyjścia z pomocą opadającej ku Ziemi – szybciej, niż przewidywano – amerykańskiej stacji orbitalnej „Skylab”. Tymczasem opóźnienie w budowie tego pojazdu, przynajmniej o pół roku, może uniemożliwić uratowanie stacji.

Ostatnio w prasie zachodniej pojawiły się informacje o tym, iż w ZSRR przygotowywany jest eksperyment, podczas którego w kosmosie urodzi się dziecko. Według tych doniesień dyrektor obserwatorium astronomicznego w Bochum (RFN), Kamiński, twierdził, iż „para kosmonautów pozostanie w kosmosie przez dziewięć miesięcy, aż do urodzenia dziecka”. Informacje te skomentował na łamach tygodnika „Litieraturnaja Gazieta” wybitny specjalista medycyny kosmicznej, prof. dr Nikołaj Gurowski. Stwierdził on, iż rzeczywiście w ZSRR planuje się zbadanie rozwoju żywej istoty w kosmosie. Mowa tu o eksperymencie „inkubator”, który zamierza się przeprowadzić podczas wystrzelenia jednego z najbliższych sztucznych satelitów Ziemi. Umieszczone w nim zostaną jaja japońskiej przepiórki, zaś rolę matki wysiadującej pisklęta spełniać będzie automat, tak jak się to odbywa w wylęgarniach drobiu. Czas rozplanowano tak, iż zaraz po powrocie satelity na Ziemię wylęgną się przepiórki, których rozwój embrionalny odbywał się w warunkach nieważkości. Umożliwi to prześledzenie wszystkich lub prawie wszystkich etapów rozwoju pierwszej żywej istoty w warunkach braku przyciągania ziemskiego.

Japońska przepiórka jest również poważną „kandydatką” na jedno z miejsc w złożonym, zamkniętym systemie ekologicznym przyszłych statków kosmicznych. Bardzo długie wyprawy kosmiczne są bowiem niemożliwe bez stworzenia wewnątrz kabiny statku „mikroziemi”, która byłaby w stanie zapewnić regenerację atmosfery, utylizację odpadów i odnawianie zapasów żywności dla załogi. Natomiast sensacyjne wypowiedzi prof. Kamińskiego na temat planowanych narodzin dziecka w kosmosie wyprzedzają rzeczywistość o wiele, wiele lat. Zanim loty kosmiczne trwające 8–9 miesięcy staną się realne, nie mówiąc już o narodzinach dziecka w stanie nieważkości, trzeba będzie jeszcze rozwiązać wiele problemów.

Jak podkreśla prof. N. Gurowski, w chwili obecnej jeszcze nie w pełni zrozumiałe są procesy związane z przystosowaniem organizmu ludzkiego do długiego okresu braku grawitacji. O ile zagadnienie zmian w układzie krwionośnym w mniejszym czy większym stopniu zostało zbadane, nie można tego powiedzieć o wielu innych sprawach. Np. jakie minimum wysiłku fizycznego wystarcza do utrzymania dobrej kondycji kosmonauty podczas długiej wyprawy międzygwiezdnej? Odpowiedź na to pytanie jest obecnie w stadium opracowywania. Właśnie jednym z celów obecnego długiego lotu radzieckich kosmonautów, W. Kowalonka i A. Iwanczenkowa, którzy przebywali na orbicie już ponad 4 miesiące, jest uzyskanie niezbędnych danych. Ponadto długotrwałe loty wymagają bądź stworzenia sztucznej siły przyciągania, bądź też poznania wszystkich szczegółów wpływu nieważkości na aparat zapewniający człowiekowi utrzymanie równowagi.

Innym zagadnieniem jest aktywność Słońca. Obecnie mamy rok „spokojnego” Słońca, dzięki czemu zarówno lot Romanienki i Greczki, jak i obecny – Kowalonka i Iwanczenkowa – są bezpieczne z punktu widzenia ewentualnego zagrożenia radiacyjnego. Jest też wiele innych, niekiedy bardzo złożonych problemów związanych z długotrwałym pobytem człowieka w warunkach nieważkości, a następnie jego powrotem na Ziemię. Niemniej – konkluduje prof. Gurowski – tempo rozwoju nauki kosmicznej jest tak szybkie, iż nie można wykluczyć nadejścia dnia, kiedy w świadectwie urodzenia mieszkańca Ziemi po raz pierwszy zostanie napisane: miejsce urodzenia – kosmos.

Miejsce urodzenia – KOSMOS?

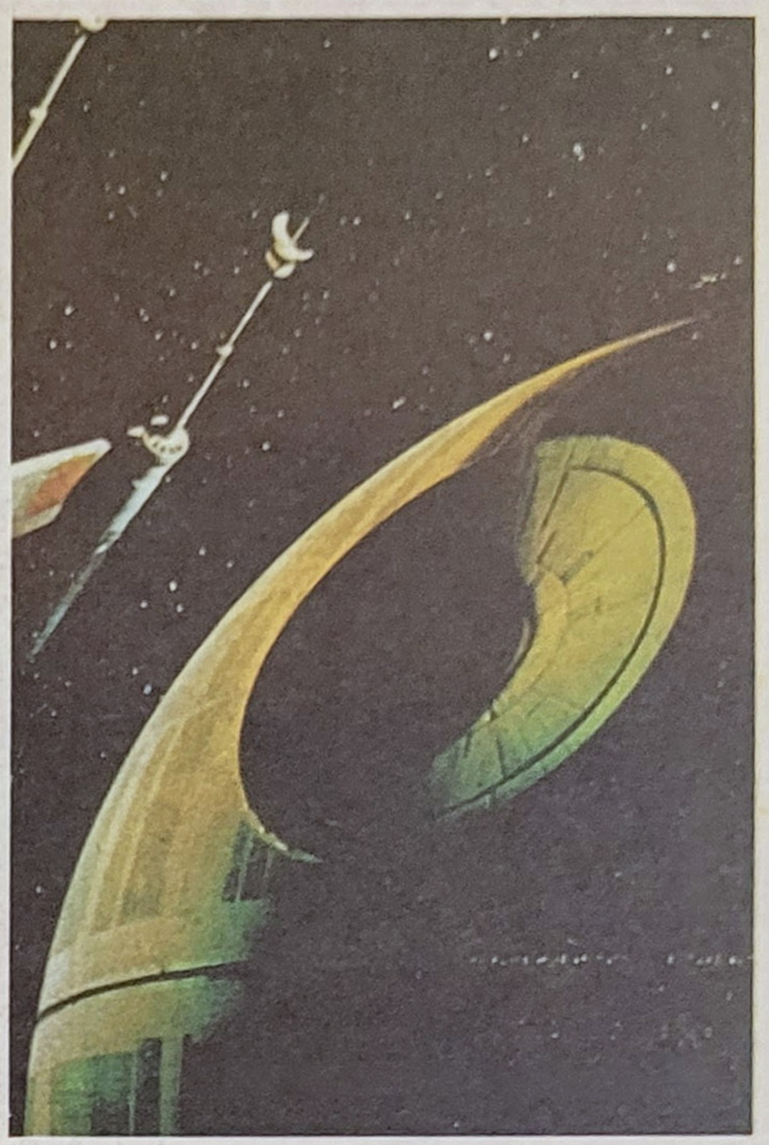

Czł. S.A.G.T. „POL”
Sylwester Walczak.
ul. Podrzeczna 43/6
99-400 Łowicz

TO BYŁ ŻART!

Pragnę wrócić do sprawy, która wywołała ogromne zamieszanie na łamach prasy krajowej. Chodzi tutaj o spotkanie z kosmitą we wsi Przyrownica w woj. sieradzkim. Otóż cała sprawa uległa dość szybkiemu i niespodziewanemu rozwiązaniu. Przylot „tajemniczych” istot do tej wsi okazał się zwykłą, doskonale wymyśloną bajką. Nie będę wracał do opisu tego zdarzenia, bo uczyniła to kol. Violetta Iwosa w 124 nr. „Świata Młodych”. Opiszę jak doszło do ujawnienia „tajemnicy” tej fantastycznej zagadki.

Przypuszczenia pana prezesa Borowieckiego sprawdziły się. „Spotkanie” było nieudolnym naśladownictwem zdarzenia w Emilcinie. Wiadomość o spotkaniu zielonego ludzika pani Janina Chlebowska – nauczycielka, wraz ze swym mężem, Wacławem, pełniącym funkcję dyrektora szkoły, przyjęła z pewną rezerwą (w przeciwieństwie do tego, co pisała kol. Iwosa). Postanowiono brać pojedynczo na spytki każdego z małych świadków wydarzenia. Opisy przedstawione przez nich pokrywały się ze sobą i można było ulec złudzeniu, że w lesie naprawdę „coś” się zdarzyło. Tym bardziej, że dzieci bały się same wracać do domu i trzeba było je odprowadzać.

O opinię w sprawie Emilcina i Przyrownicy zwrócono się do socjologa, który zajmuje się sprawami UFO. Jest nim pan Zbigniew Blania z Łodzi. A oto jego wypowiedź na ten temat: „Wydarzenia w Przyrownicy są historią wymyśloną przez dzieci na kanwie reportażu telewizyjnego emitowanego w sobotę poprzedzającą tamtą środę 27 września. Wystarczyło 10 minut rozmowy, żeby nabrać przeświadczenia o mistyfikacji, a dalsze 20 minut potwierdziło to przypuszczenie. Dzieci przyznały się do żartu, a nawet same potrafiły udowodnić bujdę swojego autorstwa”. Pan Blania uważa także, że wydarzenia w Emilcinie mają większe cechy prawdopodobieństwa. Rozwikłanie sprawy w Emilcinie zajęło jemu, wspólnie z innymi specjalistami, przeszło pół tysiąca godzin. I nie znaleziono żadnego konkretnego faktu, który pozwalałby podważyć prawdziwość tamtego zdarzenia. Natomiast w Przyrownicy wystarczyło kilkadziesiąt minut, aby dojść do prawdy.

Marek Wilk
ul. Zawadzkiego 5/35
05-900 Sochaczew

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Astronomią i radioastronomią interesują się: **Janusz Koziński,** ul. Pułaskiego 19, 67-200 Wyszków. Astronomią galaktyczną: **Paweł Szwarc,** ul. Kadłubka 10/14 m 5, 93-263 Łódz. Astronomią i astronautyką: **Grzegorz Gąszczyk** (14 l.), ul. Krótka 5/3, 58-540 Karpacz. Kosmologią i astrofizyką: **Marek Wojaczek** (14 l.), ul. Chwałowicka 94, 44-206 Rybnik 6. Astronomią, astronautyką, UFO: **Dąbrówka Frącek** (14 l.), Al Wolności 6/1, 32-600 Lesko; **Marian Formela** (14 l.), ul. Rutkowskiego 150/e 10, 83-110 Tczew; **Wiesław Trojanowski,** Rutkowskie Duże 48, 19-124 Jaświły; **Dariusz Krotewicz** (14 l.), Pl. Sebastiana 18/20 m 1, 45-030 Opole; **Grzegorz Jantos** (15 l.), ul. Ormowców 46/7, 41-909 Bytom 9; **Wojciech Łobodziński,** ul. Grunwaldzka 14/3, 23-210 Kraśnik; **Janusz Świeboda** (16 l.), ul. Kopernika 289/15, 37-700 Przemyśl. Atronautyką, budową rakiet i NOL: **Czesław Śmiałek** (13 l.), ul. Budowlanych 18b/3, 67-200 Głogów.

Przypominam, że przysyłając swoje nazwisko do Kącika Korespondentów należy koniecznie podać swój wiek oraz krótko sprecyzowane zainteresowania.

rozejrzeć się za jakąś pracą, żeby było na hotel. Można by też skorzystać z adresu, w który zaopatrzył go ojciec, i zapukać do znajomych? Na pewno przyjęliby go chętnie, „to uprzejmi ludzie”... Janek nie chce tego robić.

„Może komuś będzie potrzebna moja praca” – pomyślał.

Zobaczył właśnie dwóch mężczyzn dźwigających wrak staroświeckiej maszyny do szycia. Nie mogli dać sobie z nią rady. Koło zamachowe wypadało co chwila z łożysk i zawieszone na drążku tłukło się po bruku. Przystawali, poprawiali. Koło znów spadało i cała operacja powtarzała się od początku.

Janek podszedł do nich bez namysłu i po prostu podtrzymał machinę z boku. We trójkę ponieśli ją dalej. Nie mówili nic do siebie; słowa mieszałyby miarowy rytm kroków. Minęli jedną przecznicę, drugą, trzecią... Jankowi zaczęły już mdleć ręce, poczuł dojmujący ból w krzyżu. Za chwilę żelazny uchwyt wysunie mu się z palców.

– Daleko jeszcze? – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Widzisz przecież, że niedaleko – odburknął jeden z mężczyzn.

– Już nie mogę.

– To odpoczniemy trochę – zgodził się drugi nieco przyjaźniejszym tonem.

Postawili maszynę na trotuarze oparli się o nią niedbale w pozie wielmożnych właścicieli i starszy sięgnął po papierosy. Podał najpierw tamtemu, a potem podsunął pudełko Jankowi.

– Dziękuję, nie palę.

– Zapal!

Jan wziął papierosa.

– Ciężkie to, jak diabli – powiedział młodszy.

– A jakie ma być? – zdziwił się starszy. – Dawniej były rzeczy solidne, to i musiały być ciężkie. Nie to, co teraz: plastik i aluminium. Tfu!

– Ale przecież się popsuła – upierał się młodszy.

– Tak jest, wreszcie się popsuła. Tylko najpierw policz sobie, mój drogi, przez ile lat służyła. Jeszcze by ją można zreperować. Nawet miałem taki zamiar. Ale czort z nią! Trzeba sprzedać!

– Dużo się za to nie weźmie – pokręcił głową młodszy.

– Weźmie się, zobaczysz! – powiedział starszy z przekonaniem. Nagle zwrócił się do Jana: – Pomożesz nam jeszcze trochę?

– Mogę pomóc. Dlaczego nie?

– A co ty, nie znasz Paryża, że pytałeś, czy jeszcze daleko?

– Nie znam. Wczoraj przyjechałem.

– Wczoraj – zdziwił się młodszy. – I od razu trafiłeś tutaj? Masz może coś do sprzedania?

– Nie. Nic nie mam – Jan zawahał się przez chwilę. – Tak sobie łażę. Szukam pracy.

– Hm... Ciężka sprawa, ale może da się coś zrobić. No, już jesteśmy na miejscu. Nie słyszałeś nigdy o Pchlim Targu?

– Słyszałem.

– To go sobie obejrzyj na własne oczy. Stawiamy już to żelastwo, może znajdzie się jakiś amator.

– O to właśnie chodzi, żeby trafić na amatora – powiedział starszy. – Jak się takiemu coś spodoba, to zapłaci każdą sumę. Stare wyroby są w cenie. To nie farbowany plastik, do diabła! Prawdziwe lane żelazo. Posiada swoją wagę, swój wygląd i swoją wytrzymałość. A to musi kosztować.

Janek rozejrzał się dookoła. Cały targ rozłożył się na dwu sąsiadujących ulicach. Słyszał o Pchlim Targu, ale wyobrażał go sobie okazalej. To, co widział, przypominało raczej śmietnik albo jakąś żałosną rupieciarnię. Poobijane cyferblaty zegarków, zardzewiałe klucze, jakieś korby nie wiadomo do czego, kółka, śrubki i dużo starych przedmiotów sprzed pół wieku, oczekujących na bogatego amatora. Tych bogatych amatorów musiało być niewielu, bo jakoś nikt się nie dopytywał o te rarytasy. Maszyną także nikt się jeszcze nie zainteresował.

Janek obszedł cały targ i znowu przystanął koło mężczyzn.

– No, jak idzie handel? – spytał.

– Jeszcze nic – odpowiedział starszy. – Ale pójdzie, bądź spokojny! Chwilowo mamy zastój w interesach.

– Ta chwila trwa już od paru miesięcy – rzucił zgryźliwie młodszy.

– A bo tak. Automatyzacja i mechanizacja, a roboty nie ma. Maszynami tłuką wszystko coraz szybciej i coraz mniej potrzebują robotnika. Wszystko plastik i aluminium. A ty siedź cicho i ciesz się świeżym powietrzem.

Cdn.

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN

ŚMIESZY · TUMANI · PRZESTRASZA

ODC. 12

STRESZCZENIE

Nieczynne z powodu choroby kierownika

...POWIEDZIAŁA ŁWIZNA, ZAŚ ORIENT-MEN, ZE WZGLĘDU NA ZNACZNE POGORSZENIE STANU ZDROWIA, POSTANOWIŁ ODŁOŻYĆ KONTYNUOWANIE DALSZEJ PODRÓŻY, DO NASTĘPNEGO ODCINKA....

ŚWIAT SMŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 7205/G **S-21**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Obok siebie zobaczył żywą reklamę wielkiego domu mody: „Ubierajcie się tylko u nas!" Człowiek, którego nogi wystawały spomiędzy dwóch arkuszy dykty, tak samo jak on odprawiał swoje „flaner", tyle tylko, że nie za darmo. Więc nawet i to można sprzedawać w Paryżu...

Ulice o tej porze były prawie puste. Ci, którzy pracują, przeszli już do swoich biur i fabryk, a wesoły Paryż – Paryż uciech, tańca i piosenki – spał jeszcze w najlepsze. Dla turystów także za wcześnie na zwiedzanie. O tej porze spotyka się tylko gospodynie domowe, sprzątaczy ulic, dostawców. Jan zwrócił uwagę, że było wśród nich wielu kolorowych: Murzynów, Mulatów, Chińczyków. Byli też tacy, których narodowości nie mógł odgadnąć, chociaż poznawał, że nie są na pewno Francuzami. Jak w ogromnym garnku dla wszystkich. I nikogo to nie obchodzi czy jesteś Hiszpanem, Włochem, Polakiem czy Francuzem. Ale przy najcięższych i najbardziej brudnych pracach widział jednak najczęściej– nie-Francuzów.

Szedł przed siebie nie myśląc o tym, dokąd dojdzie. Eleganckie lokale czekały już – mimo wczesnej pory – na eleganckich gości, witryny magazynów i ogromne, mrugające reklamy zachęcały, aby wejść do środka. Tyle bogactwa, przepychu, świetności.

Zboczył z głównego traktu i wszedł niespodziewanie w skromniejsze uliczki, gdzie zobaczył odrapane domy, kafejki nie zachęcające do wejścia, jakieś ciemne typy wałęsające się bez celu... Tu już było chyba niewielu prawdziwych Francuzów. Słyszało się

różne języki, nawet wpadły mu do ucha polskie słowa. Nie było przyjemnie w tej górnej części Paryża spotkać się z polskim językiem, tu właśnie, gdzie nie zapuszczają się turyści ani bogaci krajanie, gdzie jest miejsce dla takich jak on. Naraz zobaczył przed sobą młodego człowieka, który wołał coś niezrozumiale i rozdawał wszystkim na pawo i lewo małe zadrukowane kartki. Jankowi także wetknął jedną do ręki. Było to wezwanie do manifestacji przeciwko zwalnianiu z pracy robotników fabryki zegarków LIP. Z niewyraźnie odbitej na powielaczu ulotki Jan zrozumiał niewiele. Właściciele planują zamknąć fabrykę, bo dalsza produkcja jest dla nich nieopłacalna, robotnicy nie chcą zrezygnować z pracy, związki zawodowe wzywają ich do przejęcia fabryki w swoje ręce... Podana była godzina i miejsce manifestacji. „To jest także i twoja sprawa! Przyjdź, poprzyj nasze słuszne żądania!" Jan wsadził kartkę do kieszeni i poszedł dalej. Więc to tak? Ludzie tutaj walczą o swoje prawa. Manifestują, drukują ulotki, rozważają wielkie sprawy, a oni z Piotrem przyjechali śpiewać im tu jakieś tam piosenki o czapce, o bukieciku konwalii... Komu to potrzebne? A może właśnie tutaj trzeba szukać tematów i śpiewać dla tych ludzi? Zostać na przykład trubadurem przedmieścia. Trzeba wiedzieć, komu chce się służyć swoją sztuką. Komu? Po prostu ludziom. Nie ma „po prostu ludzi". Są bogaci, biedni i tacy sobie. Poustawiani w przegródkach jak listy na poczcie. Mają dla siebie inne sklepy, inne kafejki, inne ulice. Muszą mieć także inne piosenki.

Ale po co teraz takie rozważania? Jest już zaangażowany na występy. Kto zechce, ten przyjdzie i posłucha. Żeby tylko przetrwać jakoś ten tydzień, żeby nie trzeba było spać pod mostem, bo „nocy tak spędzonej nie da się ukryć"... Kto to powiedział? Beniamin czy szpakowaty pan, który przywiózł ich do Paryża?

W każdym razie chyba jest to prawda. Więc koniecznie trzeba

Dokończenie na str. 7